

WSTĘP

W połowie lat osiemdziesiątych mieszkałem w Chicago i jako świeży emigrant łapczywie pochłaniałem niedostępną w PRL wiedzę historyczną. O wojennej polityce wielkich mocarstw wobec Polski, o rozgrywce Zachodu ze Stalinem, o złudzeniach polityki emigracyjnej. Jednym słowem o tym, jak alianci sprzedali nas Ruskim.

Pewnego zimowego wieczora, chyba w 1986 roku, w ogromnym mieszkaniu bogatych litewskich emigrantów, właściciele sieci salonów samochodowych, słuchałem odczytu o konferencji w Jałcie. Wielkie okna salonu wychodziły na ogromne jak morze jezioro Michigan. Prelegent siedział w fotelu otoczony wieńcem kilkudziesięciu krzeseł. Elegancki, szczupły mężczyzna opowiadał o dyplomacji wielkich mocarstw, której przedmiotem była Europa Wschodnia. Opowieści towarzyszyła wyrazista gestykulacja, nie posługiwał się żadnymi notatkami, swój wykład bardziej grał, niż wygłaszał. Tym prelegentem był Jan Karski. Z wykładu zapamiętałem zdanie: „Pretensje Polaków do Roosevelta, że zdradził nas w Jałcie, nie mają sensu. Roosevelt nie był prezydentem Polski. Był prezydentem Stanów Zjednoczonych”. Miałem wrażenie, że taka lekcja realizmu politycznego nie wszystkim słuchaczom przypadła do gustu. W *Kurierze z Warszawy* Jan Nowak pisze, że Karski „myślał w sposób zimny, prawie cyniczny”.

Kilka lat później, w 1994 roku, kierowałem sekcją polską Głosu Ameryki. Zbliżała się 50. rocznica Powstania Warszawskiego, myłonego zresztą notorycznie przez moich amerykańskich kolegów z Głosu z powstaniem w getcie warszawskim. Szukałem interesującego rozmówcy do audycji

przygotowywanej z tej okazji i wtedy pomyślałem o Karskim. Spodziewałem się od niego ostrej krytyki decyzji o wybuchu powstania. Niczego takiego nie usłyszałem. Jego zdaniem, pozbawione szans na sukces militarny i polityczny powstanie wybuchłoby tak czy inaczej. Gdyby nie wezwali do niego dowódcy Armii Krajowej, zostałyby sprowokowane przez posłuszne Rosjanom podziemie komunistyczne. W tej wojnie dla Polaków była to jeszcze jedna sytuacja bez wyjścia.

Po nagraniu, które odbyło się w mieszkaniu Karskiego, w pobliżu stacji metra Friendship Hights, poszliśmy na kolację. Karski był uroczym człowiekiem, wspaniałym rozmówcą. Nie tylko zajmująco opowiadał, także pytał i słuchał. Widać było, że jest spragniony towarzystwa, żył bowiem na marginesie polskiego środowiska w Waszyngtonie, pozostawał w cieniu innych, nie miał grona wyznawców, jak Jan Nowak-Jeziorański.

Polacy w ogóle, a Polacy na emigracji w szczególności, mają skłonność do wyolbrzymiania swojej historycznej roli, zasług i znaczenia. Mają kłopot z pogodzeniem się ze skromną rolą, jaką wyznaczyła nam do odegrania historia. W swojej znakomitej, niestety zbyt mało znanej książce *Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919–1945*, która w przeciwieństwie do różnych bzdur natrętnie lansowanych nie stała się kultowa, Karski napisał: „Od wskrzeszenia Polski pod koniec pierwszej wojny światowej aż do jej zgonu w następstwie drugiej wojny światowej raz tylko dane było Polakom zdecydować samodzielnie o własnym losie. Było to podczas wojny polsko-bolszewickiej... We wszystkich innych wydarzeniach Polska nie zdołała odegrać niezawisłej i skutecznej roli na arenie międzynarodowej, bez względu na sukcesy i błędy swojej polityki”.

Łatwo zrozumieć, dlaczego głosząc takie poglądy, nie był popularny w polskim Waszyngtonie. Wyczynami wojennymi się nie chwalił, nie przeceniał wagi swoich spotkań z najpotężniejszymi politykami świata. Przeciwnie, miał skłonność do pomniejszania własnej roli, podkreślania, jak bardzo czuł się onieśmielony w obecności Edena czy Roosevelta, barwnie i z upodobaniem opowiadał, jakie popełniał gafy. Miał dystans do samego siebie i – jak sądzę – mocne poczucie własnej wartości, które nie potrzebuje reklamy.

Kilka spotkań z Karskim nasunęło mi myśl, aby zarejestrować jego wspomnienia. Tym bardziej że miałem wrażenie, iż Karski znany jest raczej

jednostronnie, głównie ze swej odwagi i postawy moralnej, a nie z oryginalnego, przenikliwego i niestety nieczęstego w naszym narodzie, umysłu politycznego. W rezultacie spotykaliśmy się regularnie przez prawie dwa lata. Nagrałem około 17 godzin rozmów, powstało z nich kilkadziesiąt kilkunastominutowych audycji nadanych w Głosie Ameryki w latach 1995–1997. Skrócone wersje, opracowane przez Krystynę Melion, emitowało Polskie Radio. Te audycje nie wywołały większego zainteresowania. Na dorocznych ocenach, którym poddawany był program polskiej sekcji, jeden z recenzentów zapytał, kto to jest ten Karski, któremu poświęcamy tyle czasu na antenie.

Na szczęście nie pozbyłem się tych taśm, przywiozłem je do Polski, raczej jako pamiątkę, a trochę w przekonaniu, że przydadzą się może kiedyś jakiemuś badaczowi. W 2010 roku moja żona Ewa podjęła najpierw w Muzeum Historii Żydów Polskich, a następnie w Muzeum Historii Polski projekt uczczenia setnej rocznicy urodzin Karskiego i dla przekonania odpowiednich czynników, że warto na takie przedsięwzięcie wydać parę złotych, użyła głosu Karskiego zapisanego w tych nagraniach. Usłyszała to Małgorzata Maruszkina i uznała, że warto je wydać w książce, jako wywiad rzekę, z dodatkiem nagrań dźwiękowych.

Miałem co do tego wątpliwości. O Karskim napisano przecież kilka książek. Stanisław Jankowski, Thomas Wood, a ostatnio Andrzej Żbikowski nie tylko z nim rozmawiali, ale też pracownicy zbadali archiwa. Nagrane przeze mnie rozmowy nie odkrywały nic nowego. Przeszkadzała mi także inna wątpliwość: czym innym jest słowo mówione, a czym innym słowo drukowane. Popularne dziś wywiady rzeki są kreacjami literackimi, z prawdziwym przebiegiem rozmowy nie mają wiele wspólnego, ale główny bohater się na to godzi, i wersję ostateczną, czyli produkt literacki, autoryzuje. Mój rozmówca nie żyje i nie mógł drukowanej wersji rozmów autoryzować. Przekonał mnie w końcu argument, że na tych taśmach zapisane jest życie Karskiego opowiedziane przez niego samego.

Stałem jednak przed trudnym zadaniem przygotowania do druku czegoś, co było przeznaczone do publikacji, ale nie w formie drukowanej. Chodziło o zachowanie wierności myślom i słowom rozmówcy, ale po

dokonaniu niezbędnych poprawek, usunięciu niezręczności, przejęzyczeń, skrótów i kolokwializmów, które, inaczej niż w druku, w żywej rozmowie nie rażą. Starałem się ingerencje ograniczyć do minimum, jak najmniej wkrazać w język Karskiego, zachować jego autentyzm, dosadność, indywidualność. Nie wygładzać go ani nie zmieniać przez wzgląd na wrażliwość czyichś uszu. Mam też świadomość, że są w tych rozmowach opisy zdarzeń różne od zawartych w innych wspomnieniach Karskiego, także w książkach o nim napisanych i dokumentach. Nie zmieniałem ich, nawet kiedy wiedziałem, że pamięć Karskiego zawodziła albo upraszczał czy też skracał swoją relację. Proszę pamiętać: to nie jest naukowa biografia, to jest opowieść Karskiego o jego życiu, tak jak mi ją przedstawił w latach 1995–1996 w Waszyngtonie.

Zdaję sobie sprawę, że zawarte w tej opowieści opinie mogą wydać się ekstrawaganckie, sformułowania zbyt skrajne, niepasujące do wizerunku dostojnego profesora albo oceny nie do przyjęcia, bo zbyt daleko odbiegające od utrwalonych przez historiografię. Na tym jednak polega przyjemność obcowania z umysłem znakomitym i niezależnym, z „błyskotliwą mądrością” – jak ocenił Karskiego zmarły niedawno inny wybitny historyk, Janusz Zawodny, autor świetnej książki o Powstaniu Warszawskim *Nothing but Honour*.

Wspominając w *Kurierze z Warszawy* swoje rozmowy z Karskim, prowadzone w Londynie na początku 1944 roku, Jan Nowak-Jeziorański napisał: „Kiedy dziś, z perspektywy trzydziestu kilku lat, konfrontuję ówczesne uwagi Karskiego z tym, co później nastąpiło, myślę, że ze wszystkich londyńskich rozmówców może on właśnie najtrafniej oceniał sytuację”. Było to po konferencji w Teheranie, na której Polska – w sensie politycznym – przegrała wojnę. Wówczas świadomość klęski większość Polaków od siebie odpychała. Na ocenę realistyczną potrafiły się zdobyć tylko jednostki. Do tych jednostek należał Karski.

W Karskim znalazły połączenie pozornie sprzeczne przymioty: umiejętność analizy bez emocji i gotowość do postępowania podporządkowanego najwyższym wymaganiom moralnym. Z jednej strony „myślał w sposób zimny, prawie cyniczny”, z drugiej demonstrował bezgraniczną odwagę. Torturowany, targnął się na własne życie; po ucieczce z rąk gestapo, gdy tylko odzyskał siły, wbrew namowom wrócił do działalności konspiracyjnej.

Dwa razy przekradł się do getta i wszedł w przebraniu do obozu niemieckiego w Izbicy. Decyduje się bez wahania na niebezpieczną podróż kurierską do Londynu. Do końca służy sprawie, chociaż wie, że jest przegrana. Bohaterski realista, który swoim postępowaniem uczył, że nawet w kulturze tak powierzchownej jak współczesna nie wszystko warto poświęcić dla wygody i popularności, że wierność zasadom trzeba praktykować, choć można na tym stracić i że z całą pewnością patriotyzmu nie dowodzi się słowami.

Kiedy Karski mówił o innych ludziach, często używał słowa: szlachetny. Sam był szlachetny i dobry. A także wyrozumiały dla ludzkich słabości. Nauczył mnie sporządzać koktajl „manhattan”.

Maciej Wierzyński, czerwiec 2012